

Starzy fordoniacy, czy pamiętacie?

Z Wadowic przez Amerykę do Fordonu

Stary, czarny, ogromny parowiec rzucił kotwicę. Łańcuch w kluzie załomotał i ucichło. Wysoka, chuda dziewczynka pozbiierała swoje manatki i popatrzyła w kierunku zasnutego mgłami miasta. To miał być ten raj, gdzie było bogactwo i nigdy nie chodziło się spać głodnym. Były białe bułki i mleko, i buty, i sukienki. Do burty statku przybił mały holownik, a z niego wdrapali się na pokład jacyś ludzie i zaczęli przeglądać papiery pasażerów. – Szybko, szybko. Pokazać – jeden z nich wyjął z jej ręki metrykę.

– Gdzie są twoi rodzice, czy ktoś tam?

– Nie mam rodziców.

– A ile ty masz lat? 13-cie? Sama i taka młoda nie możesz zejść na ląd. Wszystko po angielsku z wymownym gestem. Ona rozumiała tylko po polsku.

– Załatwiał sobie powrót tym statkiem, bo nikt tu ciebie nie będzie utrzymywał. –

Nie przyjmowali młodocianych, bezradnych, a może niezdarnych. Stany Zjednoczone nie potrzebowały balastu. Silni i zdrowi nie mieli pracy. Był rok 1911. Wielki kryzys. W ten sposób Ania z Woźnik, spod Wadowic, nie zeszła na ląd i musiała wracać do Polski. Sama, bez grosza przy duszy.



Po trzech latach pojechała znów. Znów sama, ale mądrzejsza. Przekonała lub okłamała tych z biura repatriacyjnego, że jest już dorosła. Była dorosła, bo już następnego roku wyszła za mąż za Jana Ścierę, górnika, tak jak ona z Podkarpacia. On kopał gips w kopalni, ona prowadziła garkuchnię dla 10 górników. Uzbierali z tym Ścierą nielichy grosz i wrócili do Polski. Mieli dość rajy w Ameryce. Zżerała ich tęsknota. Do „głodnych” Wadowic już nie pojechali. Jan szukał dobrego gospodarstwa. I znalazł. Górnik, jednak czuł się chłopem. Najpierw w Czarnówku, a potem... Jak ktoś stanie za ciepłownią przy ulicy Pielęgniarskiej i rzuci okiem w kierunku Wisły, trochę w lewo, zobaczy samotne, rozległe zabudowania. Tam Ścierowie zapuścili korzenie. Ziemię objął po nich wnuk – Ignacy Dykiel. Dawniej przez całe lata mówiło się – idę do Ścierów. Teraz mówi się – idę do Dykli. Taksówkarz, listonosz, domokrażca nie pytają o ulicę, numer, oni idą do Dykli. Ale cofnijmy się jeszcze do 1920 roku. Jan i Anna mieli cztery córki i syna. Jedna z córek – Władysława, która została wydana za Andrzeja Dykla zza Wisły, urodziła Isia –

Ignacego. Był zwyczaj w Polsce, że, jeżeli urodził się komuś siódmy syn, jego ojcem chrzestnym zostawał Prezydent Rzeczypospolitej. I stąd najmłodszy z synów Andrzeja i Władysławy, z domu Ścierówniej, otrzymał imię Ignacy, 50 złotych, a sam Ignacy Mościcki był jego ojcem chrzestnym. Dziś Isiu twierdzi, że nigdy nie widział osobiście Prezydenta ani tych 50 złotych.

Nie było to ostatnie zetknięcie się tej rodziny z wszechpotężną władzą prezydencką. Po wojnie dziadek Jan odsiedział tydzień w więzieniu, bo w czerwcu nie odstawił zboża. Nie umiał wytłumaczyć, że zboże zbiera się w lipcu i sierpniu. A w ogóle był kułakiem. Władza usiłowała przekonać Jana, że najlepiej mu będzie w kołchozie. On nic nie chciał zrozumieć, więc grozili mu, że go posadzą. Anna pojechała z tym do prezydenta, podówczas, Bolesława Bieruta i przedstawiła co trzeba. Dali im spokój. Jan zmarł w 1965, a Anna w 1977 roku. Na ich gospodarstwie agendy powoli przechodzą w ręce synów Isia, Piotra i Janka z żoną Joasią.

I ci już mają dzieci. Usypano wał, już do Dykli nie płynie się łodzią w czasie wylewu Wisły, jak dawniej bywało. Na podwórzu stoją samochody, maszyny, jest silos. Ignacy dowodzi, młodzi udają, że go słuchają. Ale wciąż czytają, kalkulują: jak prowadzić gospodarkę, by się opłacało.

Nie sposób, nie wspomnieć jeszcze jednej kolizji z władzą prezydencką. Tym razem lokalną. Dyklowie, żeby osiągnąć więcej grosza na płacenie podatków, z których ta władza autentycznie żyje, postawili u wylotu osiedla, na swojej ziemi, zresztą podłej klasy, parking. Nie w nos to było władzy, która wobec maluczkich jest naprawdę władzą – jak matka. Może zadziałała konkurencja, a może nie. Władza – Urząd Prezydenta, tyle że z Bydgoszczy, kazał Dyklom zlikwidować parking. Dyklowie stanęli okoniem. Zjechali się goście z bliska i z daleka. Najpierw posadzili obu synów Isia, ot tak dla spokoju. To już znamy, to już przerabialiśmy za poprzedniej władzy. Gapie naliczyli 100 – słownie stu policjantów i strażników miejskich. Dowodził nimi oficer w stopniu kapitana (teraz komisarza). Rozbito młotami słupki, cięto nożycami siatkę ogrodzeniową. Jak zniszczyli, to odjechali. Tej władzy już nie ma, a parking jest. I co panie kapitanie, panie prezydencie? Nie wstyd tak rządzić i to nie na swojej ziemi? Rodzina Ściera-Dykiel pracuje, hoduje, orze, płaci podatki.

Dziś siedzimy nad stosem zdjęć i wspominamy. Takich rodzin, które mają zaskakujące wręcz życiorysy jest w Fordonie dużo. Książkę by o nich napisać.

J.I.